ROZMAITOSCI WARSZAWSKIE.

Ner 93. — DODATEK DO KORRESPONDENTA.— 1834.

PRÓBA.

(Powieść z niemieckiego.)

(Dokończenie.)

Nadeszła noc: wniesiono ogromną trumnę, kirem obitą, do przysposobionej sali. Około niej postawiono gorejące pochodnie. Rycerz, okryty prześcieradłem, w obec dziewicy do trumny się położył i ręce złożył na krzyż; głowę, opartą na wezgłowiu, uwieńczono kwiatami, a twarz sinością śmiertelną powleczono. Dziewica, udając przelęknienie, odskoczyła od niego, zalecając mieć ciągle oczy zamknięte i najmniejszego znaku życia nie okazywać. — Drugi rycerz, zaproszony do zamku na wspaniałą wieczerzę, był bardzo wesołym: śmiał się z powieści o czarach, strachach, upiorach, i o godzinie naznaczonej odważnie poszedł do wielkiej sali, gdzie go z dozorcą oczekiwała dziewica, wskazała mu miejsce, dozwalając chodzić, siedzieć, czytać, wreszcie czynić, co mu się podoba, byleby umarłego nie spuszczał z oczu.

Gdy się dziewica z dozorcą oddaliła, rycerz zaczął oglądać salę, potem zawołał z westchnieniem: »do czego to miłość nie uczyni zdolnym człowieka!« Usiadł na krześle przy trumnie i patrzał na umarłego; zadrżał mimowolnie, ponieważ udający umarłego dobrze grał swą rolę, twarz jego blada i zsiniała przejmowała trwogą, a głowa na wpół podniesiona zdawała posuwać się ku spoglądającemu na nią, jakby chciała go wciągnąć do trumny. Nakoniec sprzykrzywszy sobie opierać wzrok na okropnym przedmiocie, zapalił pochodnie i zaczął czytać dawną kronikę familijną, i tak się zagłębił w szczegółach oblężenia jakiegoś włoskiego miasta, iż zapomniał o sali, trumnie i umarłym, a dzieląc bohaterskie uczucia mężów, których chwalebne czyny go zachwycały, gotów był sam, jak oni rzecz całą przyprowadzić do końca.

Dziewica, która z pomocnikami swymi z przyległego pokoju patrzyła na to, co się działo w sali, zaczynała już wątpić o skutku swego przedsięwzięcia. W tem pierwsza wybiła i ostatni rycerz zbliżał się do wielkiej sali. Uderzył we drzwi potężnie wtedy właśnie, kiedy tamten zatopiony był w powieści oblężenia; zerwał się nagle z krzesła, jakby go ręka, co we drzwi uderzyła, targnęła za włosy. »Kto tam?« zawołał głośno. — Żadnej odpowiedzi, sam tylko odgłos słów, rozlegających się po obszernej sali, głębokie przerwał milczenie; wziął światło, chciał iść ku drzwiom, lecz zmienił swój zamiar, wtem powtórne uderzenie, od pierwszego silniejsze, znowu się słyszeć dało. — »Wnijdź, mówię ci!« krzyknął rycerz czuwający; potem cofnął się o kilka kroków, ażeby nie spuścić z oka umarłego, który bez żadnego poruszenia jak najspokojniej leżał. Nakoniec z trzaskiem drzwi się otwierają i ukazała się postać djabła.

Wiadomo, że djabeł w owych czasach niezmierną grał rolę u mieszkańców Europy. Lud, rycerze, Książęta nawet, wierzyli, iż on różną przydziewa postać, dla trapienia ludzi. Na ten raz ukazał się w postaci ogromnej i silnej, podobnej do człowieka; pod jego stopami uginała się podłoga, a barczyste ramię kopiją uzbrojone było. Rzucał okropne spojrzenia na rycerza i na trupa, a nie uważając na błyszczący miecz pierwszego, zbliżał się ku trumnie. Strzegący bronił się walecznie i skutek walki już zaczynał być wątpliwym, gdy wtem umarły zapomniał na to, co udaje, bliskość zawziętej walki i ciekawość widzenia nowego przybylca, który tak dzielnie nacierał, podniosły mu nieco głowę; lecz gdy zoczył straszliwą postać nieprzyjaciela zbawienia ludzkiego, na widok niebezpieczeństwa zagrażającego duszy, śmiertelnym strachem przejęty, podniósł się z trumny. Nieprzygotowani do takiego widowiska dwaj wojownicy, stanęli jak wryci. Trup, dręczony widokiem złego ducha, aby duszę ocalić, równemi nogami wyskoczył z trumny, djabeł co tchu za drzwi, ten co był na straży do drugiego pokoju uciekł, a umarły za nim wślad pobiegł.

Wtedy dziewica ze swymi świadkami weszła do sali, głośno się śmiejąc, i wezwawszy onych oświadczyła: że ponieważ żaden tak łatwej nie wytrzymał próby, przeto żadnemu o rękę jej starać się nie wolno. Zawstydzeni takiem pożegnaniem, żaden się więcej nie pokazał, a z czasem, gdy główne przeszkody pokonane zostały i nic nie tamowało wolności rozrządzenia swą ręką, Hilderwart zaślubił bogatą dziedziczkę, i miłością wspólną byli oboje uszczęśliwieni.

BANKRUT.

Z francuzkiego Pana Jacob, znanego pod nazwą: Bibliophil.

Wypadki najsmutniejsze charakteru najstraszniejszego trafiają się często na łonie rodzin, i ile być może, najbardziej miejskich, a tajemnice te ogniska domowego nie wychodzą na jaw i nie mieszają się nigdy z gwarem stu-gębnego świata, chciwie powtarzającego zgorszenie; czasem drama najposępniejsze i najmniej do prawdy podobne odgrywa się, przy drzwiach zamkniętych, w stadłach tyle spokojnych i na pozór szczęśliwych, ile rzeczywiście pełne są nieładu i nieszczęścia. Pod jasną i równą powierzchnią nieruchomego jeziora są bezdenne głębie i ruszające się piaski; uśmiechające się płaszczyzny Sycylii kryją w łonie swojem wulkany!

Żyłem w bardzo ścisłej przyjaźni z Panem D*, którego samobójstwo zadziwiło Paryż roku 1777 i było przedmiotem sprzecznych komentarzów; jeszcze ściślej złączony byłem z Panem Filipem de Mellevas, jego przyjacielem, który go ledwie dwa miesiące przeżył, i byłem świadkiem owej niesłychanej przygody, którą dzisiaj wyjawić mogę; albowiem osoby, którym na milczeniu mojem zależy, od dawna pomarły, i zdaje mi się, żem winien pamiątce tych trzech istot, które kochałem, rozłączonych, pod ciosem losu ugiętych i w tak młodym wieku zgryzotą umęczonych, hołd publiczny lubiącego prawdę dziejopisarza, który wykazuje niesprawiedliwość losu i opłakania godne owoce ustaw towarzyskich.

Pan D*, którego znałem ze szkół, gdzie okazywał już silną wyobraźnię, chciwą rzeczy cudnych i obfitą w szczególne projekta, uchodził za jednego z najbogatszych bankierów Francyi, pomimo życie skromne, które raczej z upodobania, jek ze skąpstwa prowadził. Mieszkał sam z żoną swoją na ustroniu w ma-

łym domku, przypierającym do cmentarza *St. André des Arcs*, lubo w Paryżu posiadał kilka hotelów i piękne majętności na wsi; nie pojmowałem obyczajów tak prostych i jednostajnych, sprzecznych z czynnym umysłem i świetnym stanem interesów; z tem wszystkiem, powtarzam to, nie był skąpy i hojność swoją czasem posuwał aż do szalonej rozrzutności, kiedy kto uciekał się do jego kieszeni lub kredytu. Cenił więc pieniądze nie dla użytku, jaki z nich robił, lecz jaki mógł jeszcze zrobić, i dla tej to dziwacznej przyczyny niezmierny majątek jego stał mu się prawie niezbędnym dla jego szczęścia. Nie mógłby był znieść ubóstwa, nie żeby potrzeby jego pomnażały się były z pomnożeniem majątku, lecz ponieważ przyszłość wydawała mu się epoką wypocznienia i używania, w której żadnej myśli niewygody i pracy nie mógł przypuścić. Jawnie wyznawał, że przeniósłby śmierć nad nędzę. Z tem wszystkiem zdawał się mieć prawo przywiązania się do życia na łonie pięknej żony i przyjaciela od młodości, Filipa de Mellevas, o sześć lat od niego młodszego, Adwokata Parlamentu, mającego dochody tylko z swego urzędu, który z talentem i z wielką uczciwością sprawował. Filip, któregom bardzo polubił, skorom poznał szlachetny jego charakter i dobre serce, miał ową naturę melancholiczną i głęboką, która sama siebie dręczy i wycieńcza wyobraźniami. To, co na tej ziemi nazywają szczęściem, co jest hałaśliwem, odurzającem, upajającem, nie miało dla niego żadnego powabu; nigdy go nie widziano na ucztach, balach, wieczorach, lubo sława jego w Parlamencie zjednała mu wstęp do salonów najpierwszych urzędników. Zwodnicze podstępy, których używano dla wciągnienia go w świat wielki, posłużyły tylko do pomnożenia w nim naturalnej dzikości; nie wychodził z swojej ulubionej samotności, jak tylko dla dopełnienia obowiązków swego stanu, lub dla wypocznienia po dziennej pracy przed kominkiem u swoich sąsiadów D*, z nimi i ze mną.

Filip był pięknym młodym mężczyzną, smutnej i w myślach zagłębionej fizyjonomii, ożywionej tkliwym wyrazem czarnych jego oczów i słodyczą w uśmiechu; wdzięczna postawa jego mniej wypływała z pięknej z przyrodzenia budowy ciała, jak z tego naturalnego układu, którego się nauczyć nie można, a który się w najmniejszem ciała poruszeniu rysuje; ubierał się ze smakiem wybornym, któremuby wytworność i zbytek nie wyrównały. Co do umysłu, ceniono go z rzadkich słów, które czasem w towarzystwie rzucał; wolał bowiem być niemym, ale życzliwym słuchaczem; czasem cały wieczór ust nie otworzył, ani oczu nie spuścił z Pani D*, która zdawała się nie postrzegać tak trwałego wpatrywania się w nią przyjaciela męża swego.

Anna poszła za Pana D* w wieku, w którym nie przeczuwała, że w zamęściu może serce mieć udział; wychodząc z klasztoru z całą swoją pięknością i niewinnością w wieku 17tym, podpisała bez rozmysłu ugodę dożywotnią; lecz wkrótce żałowała, że samym rodzicom zostawiła rozrządzenie swym losem, i poznała, że nieszczęście jej było do niepoprawienia. Kochała bowiem Pana D*, jak kocha ojciec swe dzieci; była do niego przywiązana, jak do swego obrońcy według węzłów społecznych; lecz nie było to czucie wzniosłe i upajające, nie była błogość duszy, ów instynkt sympatyi, owo pełne, niezmierne, niewymowne szczęście; słowem: nie była to miłość;... może miłość i małżeństwo nie są z sobą zgodne!

Pani D* szukała dokoła siebie mężczyzny, któregoby sobie mogła wybrać na dozgonnego przyjaciela, i chciała sama przed sobą taić, że taki mężczyzna istnie. Wychowanie, które w klasztorze odebrała, chroniło ją od niebezpieczeństwa każdego dnia; zamknęła się w grani-

cacli swoich powinności, jako matka i małżonka; schroniła się za puklerzem religii, która ją pocieszała, albo przynajmniej uczyła cierpliwości; nie żaliła się przed niebem. Anna odszczególniała się bardziej tkliwą, ale żywą pięknością swego oblicza, jak regularnością rysów. Przede wszystkiem potrzeba było zgadywać, ile wzrok jej może rozlać balsamu tkliwości, ile promieni gorącej namiętności Zwykle trzymamy źle o kobiecie, którą widzimy w domu zatrudnioną gospodarstwem i powinnościami macierzyńskiemi. Chociaż Anna miała w sobie jskiś rys romansowy, który wszakże nie popsuł zdrowego i prawego jej rozsądku, była atoli obok dowcipu poważną. Rzadko jednak wychodziła z naszego grona przyjacielskiego dla udzielenia się światu, który nam jej zazdrościł. Nie była szczęśliwą!

Jednego wieczora w zimie, roku 1777, Pan D* powrócił do siebie później, jak za zwyczaj; czekano nań z kolacyą z Filipem i ze mną. Przechodząc rzekł, że nie będzie wieczerzał, i żeby nikt się do jego nie zbliżał komnaty, gdzie się zamknął. Usiedliśmy do stołu bez niego, spodziewając się, że przyjdzie na *dessert* i uchylenie się jego przypisując jakiemuś nagłemu zatrudnieniu w interesie banku.

Anna bardziej od nas zdawała się być niespokojną, a gdy jej powiedziano, że mąż jej powrócił szczególnie pomieszany i strasznie smutny, pobiegła do drzwi komnaty, pod któremi zdało się jej, jakoby słyszała łkania; pukała do drzwi i wołała głosem wzruszonym.

»Daj mi pokój, Anno,« odpowiedziano po niejakiem milczeniu; »nie przeszkadzajcie mi aż do jutra... może całą noc będę pracował. Skończyć mam dzisiaj kilka interesów, które nie cierpią zwłoki... potrzeba, ażebym sam pozostał.«

Pani D*, zdziwiona uporem, z którym mąż nie chciał jej otworzyć, zwierzyła się nam swojej niespokojności; byłoto po raz pierwszy, że Pan D* sam się zamknął i chciał sam zostać. Filip i ja ledwieśmy ją uspokoili, chociaż oświadczyła, że całą noc spać nie będzie. Pożegnaliśmy ją o godzinie dziesiątej, przyrzekłszy przyjść nazajutrz bardzo rano, aby się dowiedzieć o przyczynie dziwacznego zamysłu naszego przyjaciela. Mellevas wlepione miał oczy w Annę, całując ją w rękę; ona z przeczucia płakała.

Pan D* odebrał dnia tego list z Frankfurtu, w którym mu doniesiono o upadku jednego domu handlowego, gdzie miał połowę swego majątku, i drugi list z Brestu, donoszący o rozbiciu się okrętu, na którym miał za milijon towarów; był więc zniszczony, i ledwo tyle mu się pozostało, aby mógł swoich wierzycieli zaspokoić. Na pierwszy rzut oka przewidział skutki tych niepowetowanych przypadków, zachował sławę swoją, lecz z poświęceniem wszystkiego, co posiadał. Powróciwszy do siebie, zamknięty w swym gabinecie, oparty czołem o rękę, czołem gorącem i pełnem wrzących, jak w kotle, projektów, przez cztery godziny gromadził cyfry do cyfer, które się wszakże nigdy nad szkodę nie podniosły. Garściami ze wściekłości wyrywał sobie włosy, lub wylewał łez strumienie; potem przechadzał się szerokim krokiem z gestami rozpaczającego, stawał niewzruszony, pożerany myślą, która zaczynała nad nim górować; wzniósł oczy ku niebu, gdzie ani jednej nie było widać gwiazdy, jak na widowni szczęścia jego żadna nie świeciła nadzieja; rzucał się na poręczowe krzesło i wybąkiwał niedokończone wyrazy. Dwa zamysły, jeden jak drugi ostateczne, wrzały w jego głowie: bankructwo lub samobójstwo.

(*Ciąg dalszy nastąpi.*)

Znaczenie przeszłej szarady: *Koper-ta.*